

Feminizm – droga do sukcesu?

Syndrom postaborcyjny, „pusta kołyska”, rak piersi będący wynikiem stosowania środków antykoncepcyjnych, poranienia w sferze psychicznej, życiowa pustka – to tylko te najwidoczniejsze pozycje na rachunku, który musiała zapłacić za swój feminizm...

Lorraine V. Murray obroniła doktorat z filozofii na uniwersytecie w Gainesville. Praca nosiła tytuł *Feministyczna teoria autentyczności i udowadniała, że różnice płciowe są wynikiem warunkowania, a nierówność między kobietami i mężczyznami może być zniesiona przez androgeniczną*. Lorraine opierała się na feministycznych pismach Simone de Beauvoir, uczennicy Sartre'a, która głosiła wyswobodzenie kobiet, m.in. przez usunięcie balastu – dzieci, bo bycie matką i gospodynią domową jest czymś gorszym niż praca zawodowa, ta zaś była konieczna, by życie kobiety nabrało sensu.

Swoją karierę naukową Lorraine rozpoczęła w latach sześćdziesiątych ub. wieku na University of Florida, gdzie – jak sama wyznaje w swej książce – „bardzo wielu profesorów i studentów uważało, że nie istnieje nic większego od ich intelektu”. Choć wychowywała się w rodzinie katolickiej, porzuciła na studiach wiarę, uznając ją za rodzaj osobliwego nałogu, który każdy dorosły człowiek powinien porzucić. To odrzucenie Boga dawało jej zielone światło do podjęcia stylu życia, który wydawał się tak mądry i kuszący...

Seks bez ograniczeń

Właśnie wtedy rodziło się pokolenie hippisów, głoszące nowe życie bez ograniczeń. Przepustką do wolności stał się wyzwolony seks. Kwitła propaganda feministyczna wzywająca kobiety do czynienia „pierwszego kroku”. Lorraine zamieniła różaniec na kolorowe koraliki, krzyż na pacyfę i przystąpiła do grona buntowników.

Dorobkiem tych zmian było bujne życie towarzyskie, pełne popijaw i popalania ręcznie robionych, nielegalnych skrętów, oraz kolejne wolne związki kończące się rozczarowaniami. Tak wspomina tamten okres: „Minęło dobrych parę lat, zanim dotarło do mnie, że postulat »wolnej miłości« był w rzeczywistości jednym wielkim kłamstwem. Nic dziwnego, że to właśnie faceci skwapliwie korzystali z dobrodziejstw łóżkowych swobód (...). Przez kilka kolejnych lat wielokrotnie powtarzałam ten sam smutny schemat: zakochiwałam się w jakimś błyskotliwym przystojniaku, pełna nadziei, że nasz związek przerodzi się w coś poważnego. Wielu facetów nie szukało jednak nikogo na dłużej, a tylko korzystało z możliwości przelotnego skoku w bok. Pragnęłam znaleźć mężczyznę, który by mnie kochał i cenił, który by się o mnie troszczył i który by mnie poślubił. Nie docierało jednak do mnie, że uprawianie seksu do tego celu nie doprowadzi. (...) Wszystko, co wiedziałam, to to, że wreszcie dorosłam. I jeśli nawet cierpiałam z powodu sposobu, w jaki traktowali mnie mężczyźni, to ból ten traktowałam jako nieodłączny element dorosłości. (...) Gdy myślę o moim życiu w Gainesville, o moich wszystkich nieudanych związkach, zastanawiam się: czyżbym szukała wówczas mężczyzny, który miał mi zastąpić Pana Boga? Pragnęłam kogoś, kto wybawi mnie ode mnie samej, kto pokocha mnie bezwarunkowo, kto będzie się o mnie troszczył i pozostanie mi wierny na zawsze. Nie mogłam zrozumieć, w czym tkwi błąd. Wiele moich koleżanek o tradycyjnych poglądach powychodziło już za mąż, jednak nie takie wolnomyślicielki jak ja. My, kobiety wyzwolone z dawnych zasad i ograniczeń, nieustannie potykałyśmy się o własne nogi i padałyśmy na nos”.

Seks bez zobowiązań stał się możliwy dzięki pigułce antykoncepcyjnej, która zadebiutowała wtedy na rynku. Miała ona zmniejszyć prawdopodobieństwo zajścia w ciążę, tak by i kobiety mogły cieszyć się seksem bez ograniczeń i nie musiały się męczyć innymi niewygodnymi środkami antykoncepcyjnymi. Skutki uboczne, takie jak bóle głowy, nudności, depresje czy możliwość wystąpienia zatorów naczyniowych i raka, nie przerażały młodych dziewczyn, które traktowały pigułkę jako środek tymczasowy i które nieczęsto zastanawiały się nad tym, że żadna pigułka „nie mogła zmniejszyć oczekiwań kobiecego serca wobec ukochanego mężczyzny”.

Cudowna pigułka

Pewnie nic dziwnego, że gdy pigułka zawiodła, a Lorraine z jednym ze swych przechodnich partnerów zaszła w ciążę, kolejnym łatwym rozwiązaniem stało się dokonanie aborcji. Propaganda feministyczna głosiła przecież prawo kobiety do swobodnego kształtowania własnego życia – czyli do aborcji. Płód był niczym więcej, jak tylko zlepkiem komórek. Ówczesne artykuły prasowe przedstawiały aborcję jako „prosty zabieg podobny do wizyty u dentysty”. Lorraine tak wspomina to wydarzenie: „Poszłam do kliniki, oczekując stosunkowo bezbolesnej procedury, wychodziłam zaś stamtąd w przekonaniu, że autorzy tamtych artykułów po prostu mnie oszukali. Zabieg okazał się męką, bo nie zastosowano żadnych środków znieczulających. To traumatyczne przeżycie stało się pierwszą rysą na moim feministycznym pancerzu. Jednak pomimo bólu opuściłam klinikę aborcyjną z uczuciem wielkiej ulgi – mój problem został rozwiązany, mogłam normalnie wrócić do swoich spraw. Ale nikt nie uprzedził mnie o tym, że prześliski przeszłości potrafią wracać. Wszystko zaczęło się jakiś rok po »zabiegu«. Za każdym razem, gdy o nim myślałam, przypominało mi się, jak wchodzę do kliniki, jak kładę się na stole operacyjnym, jak mnie badają, czuję ten straszliwy ból, a potem leżę tam i oszołomiona z trudem łapię powietrze”...

Towarzyszyły jej również i inne objawy syndromu postaborcyjnego: nerwowa reakcja na widok małych dzieci; nieustanne poczucie winy, niepokój i samooskarżenie, dręczące myśli: „ile lat, ile miesięcy miałoby teraz moje dziecko?”... Wszystkie te wyrzuty próbowała wyprzeć i uciszyć, głosząc prawo do aborcji ex cathedra swoim studentom, jednak nie to przyniosło ukojenie. Uzdrawienie przyszło po wielu, wielu latach, gdy zwróciła się do Jezusa Miłosiernego.

Pigułka antykoncepcyjna, która miała dać poczucie bezpieczeństwa, zawiodła. Potem poprowadziła do aborcji, a jeszcze później – gdy Lorraine była już mężatką – wraz z wieloma innymi czynnikami doprowadziła ją do emocjonalnego paraliżu, obsesyjnej nieumiejętności przyjęcia dziecka: „Za każdym razem – wyznaje Lorraine – kiedy przymierzałam się do odstawienia środków antykoncepcyjnych, opanowywał mnie dziwny strach. Zaplątana w pajęczynę obsesyjnych obaw rozpoczęłam pierwszą z serii sesji terapeutycznych, które miały na celu rozwiązanie »problemu dziecka«, zanim będę za stara na ciążę”. Lękowi towarzyszyła pokrętna feministyczna logika życia „wolnego od dzieci”, której propagatorki celebrowały „pustą kołyskę jako znak wyzwolenia”. „Nie przyszło mi jakoś do głowy – pisała Lorraine – że takie stanowisko miało zasadniczą wadę – gdyby bowiem wszyscy wybrali »życie wolne od dzieci«, ród ludzki zostałby skazany na wymarcie. (...) Laicki sposób myślenia, który dominował w ruchu feministycznym, wyznaczał swoje priorytety: wykształcenie, posada, pensja i awans. Rodzina i inne ludzkie więzi zostały zepchnięte na margines. Tak jak w opowieści o nowych szatach cesarza – nikt nie śmiał powiedzieć głośno tego, co oczywiste: dobrowolna rezygnacja z posiadania dzieci jest decyzją skrajnie egoistyczną. Po pierwsze, taki wybór nie dotyczy jedynie pojedynczej pary. Gdy chodzi o nas – rodzeństwo Jefa [męża Lorraine] nie miało okazji zostać ciotką i wujkiem, a jego mama nigdy nie została babcią. Moja siostra nigdy nie zaznała radości bycia ukochaną cioteczką, a jej dzieci nie miały kuzynów ze strony matki. Jeśli to prawda, że trzeba całej wioski – a przynajmniej cioć, wujków i dziadków – by wychować dziecko, to prawdą jest także, że brak tego dziecka całą wioskę rani”...

Nienasycone pragnienie

Ułudy tych i innych feministycznych haseł Lorraine doświadczyła w swym życiu bardzo szybko. Ani swobodne podróże, ani długie spanie w weekendy niezakłócone dziecięcym płaczem, ani pieniądze na koncie w banku, ani uniwersytecka i pisarska kariera nie dawały jej poczucia sensu życia. Nękana depresją i wewnętrzną pustką, zaczęła odkrywać w sobie pragnienie... życia wewnętrznego, pragnienie modlitwy – ale musiała przebyć jeszcze długą drogę, zanim zrozumiała, że źródłem zewnętrznych znaków, które dostaje, i jej wewnętrznego pragnienia, które odczuwa, jest Bóg, który jej szuka.

Niełatwo było jej obalić obraz Boga, który nosiła głęboko w swoim sercu – Boga, u którego na wszystko trzeba zasłużyć, Boga, który z pewnością nie może zajmować się kimś takim jak ona, która od Niego odeszła, która Go wyszydzała – Boga, który jest głuchy, bo zdawał się nie widzieć jej cierpienia i wtedy, gdy była małą dziewczynką, i później, gdy jako studentka straciła ukochaną

matkę (która umarła na raka), a niedługo potem także ojca. Taki obraz Boga był pewnie w jakiejś mierze kształtowany

w oparciu o postać jej ziemskiego ojca, uzależnionego od hazardu – odległego, chłodnego, często nieobecnego, nieprzejawiającego nią zainteresowania, powściągliwego w okazywaniu uczuć i groźnego egzekutora kar. Ale Bóg sam, bardzo delikatnie, odnajdował swój obraz w jej sercu i wydobywał go.

Przemawiał do niej przez pozornie zwykłe wydarzenia: piękno przyrody nie przestawało stawiać pytania o swego Stwórcę; zaintrygowały ją także pisma Tomasza Mertona, człowieka o wielkim intelekcie, który podobnie jak i ona – wychowany jako chrześcijanin, odszedł daleko od swych korzeni i w swej młodości wiódł życie dekadenta, ostatecznie nawrócił się na katolicyzm i wstąpił do klasztoru; w końcu – jak sama pisze – do Kościoła katolickiego „przywoływała mnie obecność Boga na ziemi, rzeczywista obecność Boga w Eucharystii. To tego szukałam”...

Poszukiwania

Jej powrót do Kościoła nie był entuzjastyczny i pozbawiony zastrzeżeń, nie od razu oddała swoje myślenie – jak jej się zdawało, zgodne z nauką ojców Kościoła – o aborcji, wyświęcaniu kobiet i zawieraniu małżeństw przez celibatariuszy. Ale kiedy przewracała kolejne karty Ewangelii, odkrywała Chrystusa – dobrego i mądrego. W jednej scenie z Ewangelii szczególnie odnalazła wydarzenia z własnego życia – w spotkaniu Jezusa z jawnogrzesznicą w domu przerażonego jej obecnością faryzeusza... W swych wspomnieniach pisała: „Zastanawiałam się nad tymi wszystkimi latami, kiedy szukałam pociechy w ramionach całkiem niewłaściwych mężczyzn. Myślałam o wszystkich grzechach, jakie popełniłam, i o wszystkich chwilach, które przeplakałam. Z pewnością wystarczyłoby moich wylanych łez, aby obmyć Jezusowe stopy. I nie mogłam pojąć: jak mogłam obejść się wtedy bez Jego miłości i miłosierdzia, które teraz przemawiają do mnie z kart Ewangelii? Dlaczego naigrawałam się z tych, którzy chodzili do kościoła? Dlaczego drwiłam z chrześcijan w czasach, kiedy nie było niczym trudnym rozśmieszyć znajomych dowcipem o pocziwym Jezusku? Słowa, jakimi Tomasz Merton scharakteryzował samego siebie z czasów, gdy miał lat osiemnaście, są chyba dobrym opisem »dawnej« mnie: »Deptalem ostatnie szczątki życia duchowego, jakie jeszcze pozostały w mej duszy, próbując zniszczyć i wymazać obraz Bożej wolności, którą zaszczerpił we mnie Bóg«. Merton dodaje, że w sposób nieświadomy uczestniczył w męce Chrystusa: »To jest ukrzyżowanie Chrystusa – kiedy On umiera wciąż na nowo w ludziach, którzy wyrzekli się Go, choć zostali stworzeni, aby dzielić radość i wolność Jego łaski«. Kiedy patrzę wstecz na moje życie, widzę samą siebie u stóp krzyża. Widzę, jak pomagam wbijać gwoździe w ciało Skazańca”...

Pojednanie

Na tym nowym dla siebie etapie poszukiwań Lorraine zaczęła się zastanawiać nad gniewem, jaki żywiła wobec Boga po śmierci swej mamy; to doprowadziło ją do zrozumienia, że dla tych, którzy wierzą w Chrystusa, śmierć jest tylko przejściem do nowego świata, gdzie będzie kiedyś mogła spotkać swoją matkę.

Wreszcie przyszedł też czas głębokiego doświadczenia Bożej miłości w sakramencie pojednania, kiedy Jezusowi obecnemu w kapłanie wyznała swe grzechy. Otrzymała łaskę powrotu do Kościoła katolickiego i łaskę głębokiego pokoju. Przebaczenie Jezusa stało się dla niej drogą do tak trudnego wybaczenia sobie samej aborcji, której dokonała. Uzdrawienie emocji było długim procesem. Lorraine znalazła wsparcie grupy Leczenie i Uzdrawienie Postaborcyjne. W wielu rozmowach mogła powierzyć zaufanej osobie swoje wspomnienie sprzed wielu, wielu lat, ale tę głęboką ranę leczyła przede wszystkim Boża łaska – Jezus Eucharystyczny.

Sens codzienności

Swoje miejsce i w procesie nawrócenia Lorraine oraz jej męża, i w procesie jej uzdrowienia miało spotkanie z siostrami misjonarkami miłości Matki Teresy z Kalkuty, które w ich okolicy otwierały dom dla chorych na AIDS. Lorraine zaangażowała się jako wolontariuszka. Poznała proste życie siostr, niemalże monotonne, ale wypełnione modlitwą, obecnością Chrystusa, Jego miłością i pokojem. Doświadczała Go tam, obecnego w Najświętszym Sakramencie – to On dał jej pokój i radość, których kiedyś bezskutecznie szukała w buddyjskich medytacjach. Odkryła też, że szorowanie podłóg, obieranie marchewki, rozwieszanie prania i mnóstwo małych, zwykłych czynności, które każdego dnia siostry wykonywały na nowo, stawały się wyrazem ich miłości – miłości Chrystusa do tych, których świat uznał za wyrzutki społeczeństwa... Że te czynności – które ona jako feministka kiedyś odrzucała – były wyrazem troski o nieśmiertelne dusze, a ta z kolei nadawała sens życiu i wszystkim banalnym czynnościom.

Tak podsumowała w swej książce to wspomnienie: „Żadne zajęcie nie mogło być ważniejsze. Jak wyraziła to Alice von Hildebrand w książce *Przywilej bycia kobietą*: »Pewnego dnia z wszystkich osiągnięć ludzkości pozostanie kupka popiołu. Ale każde dziecko, jakie zrodziła kobieta, będzie trwało na wieki, ponieważ otrzymało nieśmiertelną duszę uczynioną na obraz i podobieństwo Boże«. To posługiwanie Lorraine i jej męża w przygotowywaniu domu dla chorych przyniosło im, oprócz zmęczenia, poczucie szczęścia, bo – jak sama wyznaje – „po raz pierwszy w naszym małżeńskim życiu byliśmy częścią czegoś więcej niż nas samych”.

Kara?

Wkrótce po swoim nawróceniu Lorraine zrozumiała, że pójście za Chrystusem nie jest sielanką. Doświadczyła, że wiara nie jest, jak myślą niektórzy, ciepłym elektrycznym kocem, że nawet „miłość nie stanowi polisy ubezpieczeniowej przeciw cierpieniu i nawet najbardziej oddani i uczciwi chrześcijanie mogą być narażeni na trud i udrękę”, bo pójście za Jezusem to pójście drogą krzyża. Przeżywała najpierw chorobę swego męża, potem swoje osobiste zmaganie się z rakiem piersi – skutkiem zażywania pigułek antykoncepcyjnych i hormonalnej terapii zastępczej. Po raz kolejny przyszło jej zmagać się ze swoim starym obrazem Boga – starca, który czeka tylko, by się zemścić na ludziach za ich grzechy – ale z pomocą kierownika duchowego odkryła nowy obraz Boga, który zawsze spogląda z miłością; Boga płaczącego nad mylnymi ścieżkami, którymi idą Jego dzieci. Odkryła, że to nie Bóg zesłał jej tę chorobę, lecz że była ona konsekwencją jej własnych wyborów. Odkryła także prawdę, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych, że Boża łaska może odmienić każdą sytuację, a ona może z tą łaską współpracować – ofiarowując Jezusowi swoje cierpienie, swoją walkę z chorobą, rzucając się wciąż na nowo w Boże ramiona. Zrozumiała też, że jakoś, gdzieś, ktoś mógłby skorzystać z tak przeżywanego przez nią cierpienia.

Gdy minęły dwa lata, odkąd zdiagnozowano jej chorobę, Lorraine rozpoczęła nową przygodę pisarską: przystąpiła do napisania książki o swej duchowej drodze przez chorobę – dla kobiet zmagających się z tym samym problemem. Fragmenty *Pisma św.*, które wyszukiwała, by przynieść pociechę innym, przyniosły uzdrowienie jej samej. Odkryła też, że „wszystko jest łaską, wszystko jest bezpośrednim skutkiem miłości naszego Ojca – trudności, przeciwności, upokorzenia, wszelkie udręki naszej duszy, jej ciężary, jej potrzeby – wszystko, ponieważ dzięki nim dusza uczy się pokory i dostrzega swoje słabości. (...) Jakiegokolwiek byłoby nasze życie, jakiegokolwiek nieoczekiwane zdarzenia by nas spotkały – dla serca miłującego wszystko obraca się na dobre”.

Miłość wszystko wyjaśnia

To stopniowe doznawanie dobroci Jezusa i poznawanie Jego nauki – przez dogłębne studia doktryny Kościoła w wielu kwestiach moralnych – doprowadziły Lorraine do wniosku, że katolicki pogląd w sprawie życia stanowi spójną całość. Nauka Kościoła przyniosła też rozwiązanie problemu, który nurtował ją w młodości: wyjaśniała, że „Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, wyposażając ich w odrębne, właściwe każdej płci natury. To nauczanie w żaden sposób

nie sankcjonuje podporządkowania kobiet mężczyznom”. Przeciwnie, to właśnie tylko i wyłącznie „Kościół katolicki uznaje niezbywalną godność kobiet, na które patrzy przez pryzmat wielkiego szacunku okazywanego Najświętszej Maryi Pannie”. O tę godność pewnie niejednokrotnie jako feministka chciała walczyć, lecz postulaty tamtej ideologii nie były w stanie takiej godności zagwarantować, wprost przeciwnie – prowadziły do utraty szacunku oraz godności kobiety i dzieci. Lorraine zrozumiała wiele błędów feminizmu. Zobaczyła, że „nie bierze on pod uwagę codziennego życia zwykłych kobiet, które postrzegają macierzyństwo nie jako ciężar, lecz jako dar” (zob. Elizabeth Fox-Genovese: *Feminizm nie jest historią mojego życia*) – tak, jak jej matka, która cierpiała, że nie może wychowywać Lorraine i jej siostry, bo musiała pracować (co w tamtych czasach było rzadkością), by zapewnić rodzinie utrzymanie, czego nie mógł zagwarantować uzależniony od hazardu ojciec...

Dotarła do pominiętej przez siebie w czasie studiów części historii ruchu feministycznego – do faktu, że „nawet sufrażystki nie postulowały zalegalizowania aborcji. Przeciwnie – aborcja służyła im jako sztandarowy przykład zaniedbań, które obciążają stosunek społeczeństwa do kobiet w potrzebie”. Zrozumiała też, że (jak pisała E. Fox-Genovese) „wielu propagatorów praw kobiet nie zdaje sobie sprawy, że prawa wiążą się z odpowiedzialnością i obowiązkami, zwłaszcza względem dzieci. Nieograniczona wolność, jakiej feministki pragną dla kobiet, niestety przywodzi na myśl równy udział kobiet w tym, co [papież Jan Paweł II] nazywał »kulturą śmierci«”.

Pisma św. Edyty Stein ukazały jej drogę zadośćuczynienia, a także możliwość zrealizowania „duchowego macierzyństwa” – to zaś Lorraine do dziś urzeczywistnia przez swoją pracę publicystyczną i finansową pomoc fundacji wspierającej dzieci na innych kontynentach.

Zaproszenie

Głębokie zrozumienie nauczania Kościoła – Chrystusa, który przez Kościół przemawia – uświadomiło jej, że nie może pozostawać dłużej „kawiarnianą katoliczką”. „Bóg jest miłością, więc (...) życie na tym świecie jest jedną wielką miłosną przygodą, która rozgrywa się pomiędzy Bogiem a Jego dziećmi” – pisała Lorraine. „Cokolwiek spotka mnie jeszcze w przyszłości, modlę się, aby Bóg pomagał mi kochać Go coraz głębiej i aby dawał mi coraz lepiej poznawać, jak głęboka jest Jego miłość do mnie”.

Niech to będzie także i nasze pragnienie, byśmy „Boga poznali, kochali i służyli Mu na tym świecie i abyśmy byli z Nim szczęśliwi w świecie przyszłym”!

N podstawie książki „Byłam feministką” L.V. Murray (wyd. Duc in Altum)